

# CZAS ZADAŃ I NOWEJ NADZIEI

## DYSKUSJA PANELOWA

**Małgorzata Chmielewska:** Wiele mówi się o wkładzie Kościoła polskiego do Europy. Warto objąć refleksją inny punkt widzenia, czyli zastanowić się, co może Kościół polski przejąć od Kościoła zachodniego. Może nie będzie to zbyt fortunne sformułowanie, kiedy powiem, że „duch ubóstwa”. W powszechnej opinii francuskiej, którą znam bardzo dobrze, polski katolicyzm kojarzy się z bogactwem księży mających dość słaby kontakt z wiernymi. Generalnie uważa się, że w Polsce są piękne, wystawne nabożeństwa, tłumy wiernych w kościołach, tylko nie przekłada się to chrześcijaństwo na życie codzienne. Nie będę polemizowała czy jest to zgodne z prawdą, czy nie. Myślę, że ogromnie wiele się w polskim Kościele zmieniło na lepsze po uzyskaniu wolności, tylko tych wspaniałych rzeczy nie potrafimy promować. Przeszkadza nam także nasze nastawienie, typu: „My jesteśmy najlepsi, a oni wszyscy to są właściwie poganie i już nie katolicy.” Francuscy katolicy żyją w diasporze. Egzystują w społeczeństwie, które jest generalnie zlaicyzowane i wręcz wrogie Kościołowi. Niemniej jest to Kościół, jak również Kościół niemiecki, hiszpański czy włoski, prężny i żywy, który przebił już drzwi, które my dopiero przebijamy. Swoje życie złączyłam z losem nędzarzy. Dla mnie znaczenie Kościoła w Europie czy chrześcijaństwa w Europie straci swoje miejsce i rację bytu, jeśli nie zostanie gruntownie przemyślana nasza rola.

Kościół szczególną wagę przywiązuje do ewangelizacji ludzi młodych. Nie zadają oni pytań o to, jaki jest Kościół. Poszukują prawdy. Jeśli spotkają Chrystusa, w nim mogą odnaleźć prawdę. Dyskutując o misji Kościoła w nowej Europie, warto również zadać sobie pytanie o rolę, jaką będą w niej pełnić ludzie ubodzy. Jeżeli nie będziemy słuchać ludzi ubogich, jeśli Kościół zechce budować świat tylko z możnymi i potężnymi, kiedy nie pochyli się i nie zacznie tworzyć Nowego Świata, Nowej Europy z ludźmi ubogimi (oni mają ogromne możliwości), gdy ich zagubimy również w Kościele i pozwolimy na to, żeby społeczeństwo ich zostawiło i zepchnęło czy nadal spychało na margines - to nie możemy mówić ani o budowie Europy, ani o ewangelizacji Polski. Nie pomożemy również Europie odkryć na nowo Chrystusa, przynajmniej niektórym środowiskom. I takie odczucia są w Kościele francuskim, wśród wielu biskupów i chrześcijan, czego przykładem jest „Arka” Jeana Vanier czy inne wspólnoty podejmujące próby budowania życia razem z ludźmi ubogimi. Próby prorocze, niekoniecznie przemieniające całe struktury państwowe, niemniej mające ogromny wpływ na sposób myślenia intelektualistów. Są to żywe przykłady możliwości życia Ewangelią naprawdę.

**Piotr Wojciechowski:** Zastanawiam się, w jakim stopniu heroiczna postawa życia z ubogimi może być rozpowszechniana? Czy możliwe jest włączenie się w ten nurt osób, których heroizm moglibyśmy określić jako fragmentaryczny? Pojawia się pytanie, kogo możemy nazwać „ubogim”? Wydaje mi się, że pojęcie ubóstwa trzeba ciągle na nowo definiować. Ubóstwo bowiem może polegać także na upośledzeniu ekologicznym lub estetycznym. Ludzie, którzy mieszkają w nieprawdopodobnej brzydocie czy w zatrutym środowisku, też są w pewien sposób ubodzy.

**Elżbieta Wolicka:** Wielu obserwatorów procesów kulturowych w obszarze jednoczącej się Europy i w perspektywie globalizacji podkreśla, że wkraczamy w epokę bezprecedensowych przemian zarówno cywilizacji materialnej, jak i kultury duchowej, a więc w sferze ideowej,

światopoglądowej, obyczajowej, religijnej. Niełatwo dokonać wyczerpującego opisu tych przeobrażeń. Zamierzam skupić się na trzech wybranych, ważnych, moim zdaniem, aspektach owych przemian, na tym, co publicystyka określa jako kulturę różnorodności, kulturę poszukiwań i kulturę dialogu. Te trzy hasła akcentują nowy kontekst kulturowy świata, do którego oficjalny akces zgłosiliśmy z chwilą przystąpienia do Unii Europejskiej. Formalna deklaracja członkostwa powinna nas mobilizować do przemyśleń i pytań: jaką rolę mają do odegrania wspólnoty chrześcijańskie i ich instytucje w tej kulturze, często określanej mianem postchrześcijańskiej, postnowoczesnej, posthumanistycznej, itd.? Na jakie wyzwania powinny przede wszystkim odpowiedzieć i jakie zadania podjąć? Jak mają się odnajdywać w owym procesie przemian, by zachować to, co dla nich istotne, niezbywalne? Warunkiem wstępnym takiego namysłu jest zajęcie stanowiska zmierzającego przede wszystkim do z r o z u m i e n i a natury tego procesu. Zarówno neoficki entuzjazm w obliczu otwierających się nowych możliwości i korzyści, jakie moglibyśmy wyciągnąć dla siebie z zadekretowanego europejskiego obywatelstwa, jak i konfrontacyjny hiperkrytycyzm, motywowany przewidywanymi zagrożeniami dla naszej kulturowej i religijnej tożsamości, wydają się równie niebezpieczne w skutkach. Podzielam pogląd, że z samej krytyki wydarzeń, choćby wydawały się niepokojące, nie wyniknie nic naprawdę istotnego ani dla diagnozy sytuacji, ani dla przyszłości. Nic istotnego nie wyniknie również z czysto pragmatycznej taktyki przystosowania i konformizmu (ks. Tomasz Węclawski w pewnym tekście trafnie nazwał pierwszą postawę „demagogią nostalgików”, a drugą – „demagogią cyników”). Czy polski Kościół dla Nowej Europy występuje w roli darczyńcy czy również obdarowanego? Czy „przygoda integracji” nie przysparza mu co najmniej nowej wiedzy o nim samym, a także o człowieku i jego potrzebach, o społeczeństwie i kulturze, do których został posłany i z którymi ma prowadzić owocną rozmowę? Powróćmy zatem do wyżej wymienionych tendencji obecnych we współczesnej kulturze, które uważam za warte szczególnej uwagi ze strony chrześcijan.

Po pierwsze, wyzwaniem i zadaniem dla jednoczącego się świata, a szczególnie dla chrześcijan i Kościoła, staje się narastająca r ó ż n o r o d n o ś ć kultury. Wiąże się z tym łatwy dostęp do informacji, swoboda wypowiedzi oraz różnorodność ofert zarówno na rynku dóbr konsumpcyjnych, jak i na „rynku idei”. Zderzając się z wielością poglądów, stylów życia, twórczości intelektualnej i artystycznej, religijnej formacji, chrześcijanie i ich instytucje nie zawsze w tej Wieży Babel potrafią się odnaleźć. Stanęliśmy niewątpliwie przed wyzwaniem tego, co i n n e w stopniu dotychczas niedoświadczanym. Nie nadążamy ani z „oswajaniem”, ani z zajęciem zdrowego (nie ksenofobicznego) dystansu wobec wydarzeń, których jesteśmy nie tylko świadkami, ale i uczestnikami. A tych „inności” i „nowości”, wraz z otwarciem granic, możliwością nawiązywania szerokich kontaktów, łatwością przemieszczania się w czasie i przestrzeni oraz wymiany informacji, migracją ludności i napływem przybyszów z innych obszarów kultury, będzie coraz więcej. Coraz trudniej też przyjdzie chronić się we własnej „małej stabilizacji” i poczuciu splendid isolation. Czy zresztą chrześcijanom o to powinno przede wszystkim chodzić? Oczywiście, zostawiam to jako pytanie retoryczne.

W wielokształtnym i wciąż zmieniającym się świecie kluczowym wyzwaniem staje się dla chrześcijan sytuacja, w której bywają postrzegani jako jedna z wielu różnych grup społecznych, instytucjonalnie związanych z określoną ideologią - „-izmem” (np. katolicyzmem); jako jedna z alternatyw dla zróżnicowanej i światopoglądowo niespójnej, tzw. cywilizacji laickiej. Byłoby jednak katastrofalnym błędem, gdyby chrześcijaństwo i Kościół dały się wmanewrować w taki „konkurencyjny układ sił”. Bycie enklawą, jeśli nie skamieliną, czy jeszcze gorzej: gettem w obszarze kultury, oznaczałoby kapitulację i zdradę ewangelicznego przesłania: *Idźcie na cały świat...* A znaczy to dziś: idźcie do tej kultury, która deklaruje, że może się z powodzeniem obejść bez Dobrej Nowiny, zadowolając się

pozornie bardziej „powszechną” ideą „humanizmu samowystarczalnego” (human flourishing). Symptodem takiego błędu byłoby praktykowanie doraźnych rozstrzygnięć taktycznych, dyktowanych pytaniem: w jakim stopniu możemy (czy musimy) się przystosować, a w jakim powinniśmy przeciwstawiać się temu, co uznajemy za zagrożenie? Chrześcijaństwo, Kościół, nie mogą się ograniczać ani do funkcji pewnych siebie mentorów, ani operatywnych w każdej sytuacji przewodników na użytek kulturowych turystów.

Jak zatem w nieodwracalnie zróżnicowanym, zmiennym i chlubiącym się swoją otwartością na wielokulturowość świecie być pielgrzymem i strażnikiem „miejsc świętych”? Jak być świadkiem Dobrej Nowiny i jej twórczym „zaczynem” – *fermentum massae mundi*? Oto jest pytanie. A poszukiwanie na nie odpowiedzi wydaje się ważniejsze od, uzasadnionej skądinąd, batalii o *invocatio Dei* w preambule europejskiej konstytucji.

P o s z u k i w a n i e – drugi aspekt kontekstu kulturowego, na który chcę zwrócić uwagę. Nazywając siebie „Kościółem pielgrzymującym” a nie „wojującym”, tenże Kościół skłonny jest czasem zapominać, że jest również „Kościółem poszukującym”. Wie oczywiście, c o powinien znaleźć, a raczej nieustannie na nowo odnajdywać, ale często wydaje mu się, że to poszukiwanie ma już w zasadzie poza sobą. Kultura współczesna dość boleśnie odziera nas z takich złudzeń. Odziera wówczas, gdy nie akceptuje, a nawet drwi z anachronicznego, niezrozumiałego i niekomunikatywnego języka tradycyjnego nauczania; gdy kwestionuje, a nawet wyśmiewa lub prześmiewczo traktuje zwłaszcza tradycyjną symbolikę i obrzędowość, szczególnie tę, w którą obrosła religijność popularna; gdy poza wyznawaniem wiary tropi nietolerancję, zadufanie w sobie i dewocyjny zabobon; gdy demaskuje obłudę, koniunkturalizm i moralną dwulicowość wyznawców wszystkich szczebli itd., itd. Sądzę, że poza słusznymi i niesłusznymi, uzdrawiającymi i krzywdzącymi osądami (wobec których zachowuje swą aktualność stara zasada *oportet distinguere*, ale bez gniewu i uprzedzenia) ta kultura, którą zwykło się określać jako laicką, nader często daje chrześcijanom pouczającą lekcję „etyki autentyczności”, jak ją nazywa Charles Taylor. Autentyczności, która jest motywem i celem poszukiwań, a nie niepodważalnym stanem posiadania.

Może więc donioślejszym, a na pewno bardziej przekonującym dla owej kultury byłby imperatyw „bycia w drodze” i towarzyszenia innym wędrowcom, budowania więzi i szukania miejsc owocnej współpracy, niż imperatyw doktrynalnej, kultowej i dyscyplinarnej integracji, jaki często wysuwa się na pierwszy plan kościelnego nauczania i manifestowania wiary? Myślę, że nauczanie to, czy szerzej – duszpasterstwo, czy jeszcze szerzej - apostołstwo powinno się stawać coraz bardziej zróżnicowane, elastyczne i dostosowane do potrzeb różnych środowisk, a także jednostek. Tradycyjne modele na ogół nie sprawdzają się poza strukturami kościelnymi, a przecież Kościół nie istnieje po to, aby nauczać wyłącznie sam siebie. Duszpasterstwo masowe uważam za formę coraz mniej adekwatną do wymogów pluralistycznej kultury. Ludzi mniej dziś interesuje instytucjonalny i doktrynalny aspekt religii, którą posądzają o aspirację do „rządu dusz” raczej niż „troski o dusze”, ale to nie znaczy, że tym samym są mniej religijni, jak zauważył kiedyś ks. Tomasz Halik.

Kultura „poszukujących” jest kulturą złąknioną religii, wbrew swemu obrazoburstwu, a często niejako wbrew samej sobie. Zwłaszcza wówczas, gdy „humanizm samowystarczalny” – „niegościnnie dla transcendencji” (Ch. Taylor) – odsłania drugie, perwersyjne, okrutne i pełne rozpacz oblicze. (Może warto by pod tym kątem badać literackie i artystyczne eksperymenty tzw. „brutalistów” – drastyczny teatr niemiecki i litewski, a także polski; prowokacje w sztuce – np. wystawy w rodzaju brukselskiej „Irreligii”; katastroficzne ewokacje filozofii postmodernistycznej itp.) Pierwszoplanowym zadaniem chrześcijan powinno być przecież przełamywanie barier nieufności, podejrzliwości, obcości, a nie „szukanie wrogów”, osądzanie i piętnowanie. Nie zawsze jest to dla nich oczywiste. Co nie znaczy, że mają zrezygnować z bycia „znakiem sprzeciwu”, a nawet ostrej polemiki, jednakże bycie z n a k i e m zakłada dbałość o czytelność tego znaku dla innych.

Trzecim, ważnym aspektem współczesnego kontekstu kulturowego, o którym wypada tutaj przynajmniej napomknąć, a z którym chrześcijaństwo powinno się liczyć, jest zmiana dominującego wzorca komunikacji społecznej, wymuszana przez media, świeckie instytucje publiczne i procedury demokratyczne, domagająca się szczególnej wrażliwości i rozszerzenia wyobraźni, rzec można, ciągłej „re-kontekstualizacji” języka i rewizji jego komunikacyjnych funkcji. W dyskursie publicznym coraz większej wagi nabiera model otwartej debaty, negocjacji i uzgodnień, a traci na znaczeniu nauczanie z pozycji autorytetu urzędu i serwowanie gotowych rozstrzygnięć na mocy odgórnie ustalonych nakazów i zakazów. Nieco już wyświechtanym hasłem stało się stwierdzenie, że wchodzimy w epokę dialogu i koncyliaryzmu. Z niejakim trudem i nie bez oporów taki język i praktykę przyswajają sobie również Kościół (choćby w dziedzinie ekumenizmu i dialogu międzyreligijnego), który Kościół w wieloetnicznym, wielojęzycznym i wielokulturowym świecie współczesnym winien być miejscem spotkań i tworzyć język porozumienia. Tym bardziej, że poza zmianą technik komunikacji kryje się doniosły problem rozstrzygania dylematów etycznych. A to już nie jest tylko kwestią praktycznych procedur, lecz fundamentów ładu moralnego, a więc przyszłości kultury. Dominacja koncyliarnego wzorca społecznego porozumiewania się potrzebuje przeciwwagi w postaci wiarygodnych autorytetów, ale trzeba się liczyć ze zmianą motywacji w ich uznawaniu. Akceptowanymi autorytetami stają się dziś już nie tyle posiadacze i egzekutorzy władzy, ile powiernicy i obrońcy dobra wspólnego: uprawnień obywatelskich, prawa publicznego, zasobów kultury, wartości ogólnoludzkich, godności tzw. ludzi zbędnych, prześladowanych czy spychanych na margines struktur społecznych itd., a także rozjemcy sporów, rzecznicy porozumienia, architekci owocnej współpracy. Sądzę, że w takich właśnie rolach chrześcijanie i ich instytucje z Kościołem na czele powinni się przede wszystkim odnajdywać. „Gdy (...) obejmujemy spojrzeniem ludzkość” – pisze Papież w encyklice *Redemptoris missio* (§ 1) – „przekonujemy się, że misja Kościoła dopiero się zaczyna i że w jej służbie musimy zaangażować wszystkie nasze siły”.

**Piotr Wojciechowski:** Istotnym brakiem odczuwanym w kulturze jest spadek znaczenia książki i czytelnictwa – przenoszenie się od kultury słowa i idei do kultury obrazków i emocji. Przeciwno kulturze dialogu działa silnie prąd monopolizacji nadawców. Ważne jest to, co zostało wypromowane, nadawcami stają się potężne centrale, których produkty są rozprowadzane przez sieci przekazu telewizyjnego i internetowego. Pragnąłbym zwrócić uwagę na słowo „rozpacz”. Sądzę, że z odpowiedzią na postawę rozpaczycy każda kultura musi sobie poradzić i jest to zarazem sprawdzianem jej żywotności.

**Andrzej Draguła:** „Kościół Polski dla nowej Europy”- takie sformułowanie tematu zawiera jasne dookreślenie dawcy – Kościół w Polsce i obdarowanego – Europę. Polski Kościół występuje tutaj z pozycji darczyńcy, który dobro, jakie posiada, chce „w akcie braterstwa czy hojności przeznaczyć nowej Europie”. Tylko, że trzeba najpierw rozpoznać to dobro, jakie się posiada. Moje duszpasterskie doświadczenie każe mi zająć się jedną przestrzenią tego dobra, jaką jest ewangelizacja. Pozwolę sobie powiedzieć kilka słów o jakości tego daru.

Kiedy czyta się adhortację apostolską *Ecclesia in Europa*, można ulec fałszywej pokusie przekonania, że w wielu punktach jej treść nie dotyczy polskiego społeczeństwa i Kościoła w Polsce. Przekonanie to może dotyczyć zwłaszcza punktu 45 i 46 rzeczony dokumentu. Oba one mówią o konieczności nowej, a także pierwszej ewangelizacji. Zacytuję fragment adhortacji: „W różnych częściach Europy potrzeba nowego głoszenia Ewangelii: wzrasta liczba ludzi nieochrzczonych, zarówno w związku ze znaczącą obecnością imigrantów należących do innych religii, jak i dlatego, że również dzieci z rodzin o tradycji chrześcijańskiej nie zostały ochrzczone, czy to na skutek panowania komunizmu, czy ze

względu na szerzącą się obojętność religijną. Faktycznie Europa należy do tych miejsc tradycyjnie chrześcijańskich, w których konieczna jest nie tylko nowa, ale w pewnych przypadkach również pierwsza ewangelizacja. (...) Również na 'starym kontynencie' są rozległe obszary społeczne i kulturalne, na których jest konieczna prawdziwa misja *ad gentes*" (46). Jedyne poprawne odczytanie tego fragmentu adhortacji prowadzi nieuchronnie do wniosku, że wspomniane przed chwilą obszary społeczne i kulturalne domagające się ewangelizacji znajdują się także i w Polsce. Czas zadań wydaje się więc dookreślony. Jest nim pilna potrzeba nowej ewangelizacji, a niekiedy wręcz pierwszej, misyjnej ewangelizacji, także w Polsce. Zresztą idea ta nie jest zupełnie nowa, bo Papież o nowej ewangelizacji Polski mówił już przed 25 laty, podczas pierwszej wizyty w Polsce, 9 czerwca 1979 r. w Nowej Hucie - Mogile: „Na progu nowego Tysiąclecia wchodzi na nowo Ewangelia (...) Rozpoczęła się nowa ewangelizacja, jak gdyby druga, a przecież ta sama, co pierwsza”<sup>1</sup>. Myślę, że konstatacja ta jest ważna w kontekście mówienia o Europie. Najczęściej bowiem kościelny dyskurs o Polsce, Kościele i Europie koncentruje się na misyjnych zadaniach Kościoła w Polsce wobec Europy, co w wypowiedziach niektórych urasta wręcz do jakiegoś dziejowego, na poły mesjańskiego powołania Polski. Jest w tym ukryte - dodam, że w moim przekonaniu fałszywe - przekonanie, jakoby Polska, ewangelizując innych, sama nie potrzebowała ewangelizacji.

Czy są znaki nadziei, które zadanie ewangelizacji czyniłoby możliwym do wykonania? Odpowiedź na to pytanie chciałbym oprzeć na własnym doświadczeniu duszpasterskim, jakim jest Przystanek Jezus, który od lat towarzyszy festiwalowi rockowemu Przystanek Woodstock. Tym znakiem, a może znakami nadziei, jest młodzież. Świadomie użyłem liczby mnogiej (znaki nadziei), chodzi mi bowiem o młodzież z tej i tamtej strony spotkania ewangelizacyjnego, o młodzież z Przystanku Jezus i Przystanku Woodstock.

Baza Przystanku Jezus zarejestrowała w tym roku ponad 600 nazwisk. Znalazło się w niej dwóch biskupów, blisko 50 kapłanów, lekko ponad stu kleryków, diakonów i braci oraz kilkanaście sióstr z różnych zgromadzeń. Wielu z nich na Przystanek Jezus przyjechało po raz kolejny. Niektórzy są w nim od samego początku. Gdyby chcieć policzyć dotychczasowy stan, to przez woodstockową ewangelizację od 1999 r. przez 5 edycji inicjatywy ewangelizacyjnej przewinęło się pewno z pół tysiąca księży, kleryków i zakonnic, świeckich zaś trzeba by policzyć w kilka tysięcy. To rzeczywista armia ludzi. Co ich łączy ze sobą?

Jan Paweł II powiedział do polskich biskupów podczas wizyty *ad limina*, że istotą nowej ewangelizacji winno być „duszpasterstwo (...) misyjne, które nie czeka biernie, lecz wyrusza na poszukiwanie zagubionych owiec”<sup>2</sup>. W tym roku znakiem rozpoznawczym były koszulki ze słonecznikiem na plecach i napisem: „Nie zrywaj z Bogiem”. Był to jednoznaczny, ewangelizacyjny apel skierowany do spotkanej na festiwalu młodzieży. Myślę jednak, iż każdy z ewangelizatorów nosi jeszcze jedną, niewidzialną koszulkę z napisem: „Nie zrywaj z człowiekiem”, a może nawet: „Nie zrywam z człowiekiem”. Jeśli bowiem przyjeżdżać na Przystanek Jezus, to tylko po to, by zmanifestować, że los drugiego człowieka nie jest mi obojętny. I nie tylko zmanifestować, ale rzeczywiście tę nieobojętność na człowieka, na jego los, jego życie i jego zbawienie okazać. Przystanek Jezus jest spotkaniem ludzi, przede wszystkim młodych ludzi, którzy trawieni są niepokojem o życie i zbawienie swoich rówieśników. Właśnie dlatego ta ewangelizacja nazywa się „Młodzi – młodym”. Ten niepokój każe im rezygnować z urlopów i wakacji i wytrzymać trudy zmęczenia nieustannego wędrowania z pola namiotowego do kościoła (a w tym roku

---

<sup>1</sup> Jan Paweł II, *Homilia podczas Mszy świętej w sanktuarium Krzyża Świętego w Mogile-Nowej Hucie, 9 VI 1979*. W: *Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski. Przemówienia, reportaże, sprawozdania*, red. M. Maciołek, Poznań 1982, 242.

<sup>2</sup> Jan Paweł II, *Jesteśmy świadkami walki o człowieka. Przemówienie do biskupów polskich podczas wizyty ad limina apostolorum 15 I 199*. ChS 23:1993 nr 1, 182.

odległość z pola Przystanku Woodstock do bazy przy kościele pw. NMP Matki Kościoła wynosiła dobrych kilka kilometrów), poświęcić wiele dni na zorganizowanie pracy biura, spędzić niejedną godzinę w przystankowej kuchni, by nakarmić kilkaset burczących brzuchów. Ta sama miłość człowieka „każe” spędzić długi czas na modlitwie, raz cichej jak w kaplicy adoracji, a raz niezwykle radosnej, dynamicznej, roztańczonej, by nie powiedzieć – rozszalałej z miłości podczas Eucharystii. I chyba dlatego nie da się porównać Przystanku Jezus z jakąkolwiek inną inicjatywą. Nie ma chyba w Polsce takiego miejsca i takiego czasu, gdzie spotkałoby się naraz tylu ludzi, których wręcz popycha miłość Boga i miłość człowieka.

Podczas tegorocznej ewangelizacji bp Edward Dajczak przypominał nam wszystkim, że drugiego człowieka można poprowadzić tylko tam, gdzie jest się samemu. W młodych ludziach, przyjeżdżających ewangelizować tkwi podwójne pragnienie: iść jak najdalej i jak najwięcej ludzi poprowadzić ze sobą.

Po Mszy św. prymicyjnej na tegorocznym Przystanku Jezus odbyło się błogosławieństwo, podczas którego tradycyjnie rozdawano obrazki. Jeden z neoprezbiterów miał wyjątkowy obrazek. Było to zdjęcie zrobione na którymś z przystanków w Żarach. Na tle woodstockowych namiotów biały, smukły krzyż, a pod nim troje modlących się ludzi. W dalekim tle widać scenę Przystanku Woodstock. Takie jest właśnie pokolenie Przystanku Jezus. To ci, którzy mają odwagę stawiać krzyż i o nim świadczyć pośród świata, który zrazu zdaje się nieprzyjazny. Ale oni wiedzą, że ta rzucająca się w oczy „nieprzyjaźń” świata, kryje coś, czego się ostatecznie ani ukryć, ani zagłuszyć nie da – głód Boga. I oni idą ten głód zaspokajać. A są już ich dzisiaj tysiące. Myślę, że nie będzie nadużyciem, jeśli teraz właśnie zacytuję słowa Jana Pawła II z adhortacji o Europie: „Europa potrzebuje wiarygodnych ewangelizatorów, w których życiu, zjednoczonym z krzyżem i zmartwychwstaniem Chrystusa, zajaśnieje piękno Ewangelii” (49). Dodam: Europa ma już takich ewangelizatorów. Jest w nich coś, czego zakwestionować się nie da – zachwyt Bogiem. Wobec tego zachwyty milkną wszelkie kontrargumenty.

Drugi znak nadziei to młodzież z Przystanku Woodstock. Jan Paweł II w *Ecclesia in Europa* nawiązuje do sceny, gdy Pawłowi ukazuje się we śnie Macedończyk i woła: „Pomóż nam”. Papież komentuje, a zarazem aktualizuje tę scenę: „Choć niewyrażone czy nawet tłumione, to właśnie jest najgłębsze i najprawdziwsze wołanie, jakie płynie z serc dzisiejszych Europejczyków, spragnionych nadziei, która nie zawodzi” (45). O prawdziwości tych słów można się przekonać na Przystanku Woodstock.

O młodzieży przyjeżdżającej na Woodstock - niestety - napisano i wypowiedziano już wiele, za wiele słów złych. Nie można przecież rozpoczynać głoszenia Ewangelii od oskarżeń i oceny tych, którym się ją głosi. Być może nie da rady na polu namiotowym Woodstocku powtórzyć słów św. Pawła wygłoszonych na rynku ateńskim: *Widzę, że jesteście pod każdym względem bardzo religijni* (Dz 17, 22), jednakże u tego, kto podejmuje trud ewangelizacji, musi bezwzględnie dominować nastawienie pozytywne, dostrzegające w drugim człowieku pokłady dobra, duchowych potrzeb i zagłuszonej religijności. I jeżeli między ewangelizowanym a ewangelizującym wyrasta niekiedy mur, to - parafrazując słowa wypowiedziane przed czterema laty w tej auli przez kardynała Paula Pouparda – trzeba w tym murze rozpoznawać wyrastające kamienie, o które można się zaczepić<sup>3</sup>. W roku 1999 z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej przysłano list, w którym wyrażono wdzięczność ewangelizatorom przyjeżdżającym na Przystanek Jezus, aby zaradzać „duchowym potrzebom młodzieży, również tym manifestowanym jako bunt wobec ogólnie akceptowanej rzeczywistości”<sup>4</sup>.

<sup>3</sup> P. P o u p a r d, *Pomiędzy barbarzyństwem i nadzieją*, W: *Sacrum i kultura. Chrześcijańskie korzenie przyszłości*, Lublin 2000, 25.

<sup>4</sup> *Kiedy Jezus przychodzi w glanach*, Gorzów Wlkp, 2002, 7.

Daleki jestem od idealizowania rzeczywistości Przystanku Woodstock, zdaję sobie sprawę, iż ocena tego, co się dzieje na samym festiwalu, a także pewnych idei, które są tam propagowane, czy też niektórych posunięć organizatorów jest o wiele bardziej skomplikowana. Chciałbym jedynie zaznaczyć, iż wieloletnie, namacalne doświadczenie, które jest zgoła inne od doświadczenia medialnego, nie tylko pozwala, ale wręcz każe mi powiedzieć, iż Przystanek Woodstock jest zgromadzeniem tysięcy ludzi duchowo głodnych i zagubionych. Można tego doświadczyć aż nadto podczas tysięcy już chyba rozmów, które stają się autentycznym wołaniem o sens życia, którego nie dostrzegają we własnej egzystencji.

Pozostaje pytanie, dlaczego tegoż sensu życia nie znajdują w wierze, pewno jakieś 95%, zostało kiedyś ochrzczonych. „Wielu współczesnych Europejczyków – pisze Papież – sądzi, że wie, co to jest chrześcijaństwo, a w rzeczywistości go nie zna” (47). Prawdziwości tego stwierdzenia doświadczyć można na Przystanku Woodstock. Wszyscy tam przyjeżdżający mają pewne doświadczenie wiary i Kościoła, a także wyobrazenie Kościoła. Mimo to trzeba jednak powiedzieć, że nie znają ani chrześcijaństwa, ani Kościoła. To bowiem, co poznali – niestety – odbierane jest przez nich (a czasami też rzeczywiście jest) jako karykatura wiary i Kościoła. Kościół, wiarę, chrześcijaństwo i samego Pana Boga odbierają przede wszystkim przez pryzmat skandali i medialnego obrazu instytucji Kościoła. Bardzo wiele, jeśli nie prawie wszystkie rozmowy na Woodstocku, zaczynały się od artykułowania żalu wobec Kościoła, który – w ich rozumieniu – zajmuje się samym sobą, a jeśli już się nimi interesuje, to tylko po to, by wykazać grzech. Nie ma więc innego wyjścia, jak dać tym młodym ludziom inne doświadczenie Kościoła. I jeśli można mówić o jakimś sukcesie Przystanku Jezus, to jest nim właśnie danie wielu młodym ludziom doświadczenia Kościoła bliskiego człowiekowi, który nie jest najpierw po to, by go oskarżyć, ale po to, by go wysłuchać i być razem z nim. Kościół masowy, który z konieczności musi skoncentrować się na administracji i zaspokojeniu potrzeb wszystkich, takiego doświadczenia niestety im nie daje. „Potrzeba wyrazistych, osobistych i wspólnotowych świadectw nowego życia w Chrystusie” (49) – pisze Jan Paweł II. Myślę, że Przystanek Jezus „oferuje” takie właśnie świadectwo. Kościół objawia się tam jako żywa wspólnota ludzi doświadczających żywego Jezusa, wspólnota ludzi, którzy głoszą żywego Jezusa.

Myślę, że doświadczenie Przystanku Woodstock jest doświadczeniem uniwersalnym. Polska młodzież jest podobna do tej, która żyje w Amsterdamie, Monachium czy Lizbonie. Z czasem być może upodobni się jeszcze bardziej. Dzisiaj żyje jeszcze w chrześcijańskim biotopie, choć coraz mniej w niej tegoż chrześcijaństwa zostaje. Jak będzie dalej? Nie wiadomo. Wszystko zależy od tego, jak potoczą się procesy sekularyzacyjne, na który większy wpływ ma MTV i Internet niż Parlament Europejski w Strasburgu, to z telewizji biorą się bowiem wzorce osobowe.

Relacje, jakie wytwarzają się na Przystanku, są moim zdaniem dobrym modelem tego, jak powinny wyglądać relacje polskiego Kościoła i polskich wierzących z europejską społecznością. Kilka lat trwało przekonywanie organizatorów Przystanku Woodstock, iż celem naszej obecności nie jest krucjata, narzucanie komukolwiek swojej wizji świata, lecz dawanie często milczącego świadectwa życia Kościoła, którego drogą rzeczywiście jest człowiek. Nie wiem, czy Europie potrzebni są polscy misjonarze, którzy podejmą teraz *peregrinatio propter Deum* z głębokim przekonaniem, że oto teraz my nawrócimy spoganiałą, zlaicyzowaną Europę. O wiele bardziej potrzebne jest żywe świadectwo polskiego Kościoła, który skoncentrowany jest bardziej na głoszeniu ewangelicznej nadziei niż na czymkolwiek innym. Europie potrzebny jest też polski Kościół, który wychodzi szukać w niej dobra tak, jak ewangelizatorzy Przystanku Jezus szukają go w uczestnikach festiwalu Przystanek Woodstock. Ten bowiem, kto poznał prawdę, potrafi wszędzie rozpoznać jej ziarna. Dominująca w niektórych środowiskach postawa tropienia i dekonspirowania zła przede

wszystkim, nie dopomoże w obdarowaniu Europy. Myślę, że w Europejczykach jest więcej dobra niż nam się wydaje, i trzeba go szukać poza parawanem obojętności, wrogości czy buntu. Jaki więc dar może dać Kościół polski Europie? Nazwałbym go darem prawdziwego rozpoznania chrześcijaństwa i Kościoła. Możemy pomóc Europie w poznaniu tego, czym rzeczywiście są chrześcijaństwo i Kościół. Nie ma innej możliwości, by pomóc rozpoznawać, czym jest chrześcijaństwo jak tylko przez dbałość i troskę o własną tożsamość. Metody i techniki są czymś wtórnym. Tylko w ten sposób chrześcijaństwo i Kościół możemy uczynić bardziej rozpoznawalne. Jedno jest pewne: naszej europejskiej młodzieży „potrzeba – jak mówił cytowany Paul Poupard – mężczyzn i kobiet mocnych, dokładnych, wspaniałomyślnych, doskonale dwujęzycznych, to znaczy zdolnych mówić językiem Boga w języku ludzkim, podwójnie biegłych, to znaczy kontemplujących Boga i biegłych w ludzkości, zakochanych w Bogu i w ludziach, aby z wiarą dzielić z nimi tajemnicę Jego miłości, źródło naszej nadziei”<sup>5</sup>. Wiem, że tacy ludzie są. Można ich spotkać na Przystanku Jezus. I na pewno gdzie indziej też.

**Piotr Wojciechowski:** Dziękuję za tę część wystąpienia, mam nadzieję, że usłyszymy jeszcze głos Księdza Doktora w dalszej części dyskusji.

**Leszek Slipek:** Podstawą moich przemyśleń o zadaniach, jakie stoją dziś przed Kościołem w Polsce, w sytuacji formalnego połączenia naszego kraju z Unią Europejską, są wieloletnie doświadczenia zdobyte w pracy duszpasterskiej jako proboszcza parafii, których trzon i przeważającą część wspólnoty stanowili ludzie ze środowisk inteligenckich. Nie możemy ofiarować Europie żadnych szczególnych innowacji. Wydaje się natomiast, że moglibyśmy zaproponować jej nasz wkład w kształtowanie postaw osobowości ludzi wierzących według wartości chrześcijańskich. Jest to sprawa ważna w dobie mnożących się zagrożeń dla wiary człowieka, pokus, by postępować tak, jakby Boga nie było, silnych tendencji hedonistycznych i zwodniczych dążeń do usunięcia cierpienia z pola widzenia. Przeciwno temu wszystkiemu podejmuje się walkę o wartości chrześcijańskie. Ta walka skierowana przeciwko wrogowi zewnętrznemu jest jednak wyraźnym samooszukiwaniem się. Cały wysiłek powinien być zwrócony w kierunku manifestowania wartości chrześcijańskich wewnątrz społeczności chrześcijańskiej. Im bardziej będą one zakorzenione w mentalności i postawach ludzi wierzących, tym słabsze i mniej znaczące staną się zagrożenia zewnętrzne. Tak było zresztą od początku: Kościół wzrastał w bezbożnym świecie rzymskim, a najbardziej eksplodował wewnętrzną siłą i mógł przemieniać świat wtedy, kiedy miał siłę duchowej formacji.

Cały jednak problem polega na tym, by właściwie rozumieć wartości chrześcijańskie. W polskim kontekście społecznym to pojęcie pojawia się zazwyczaj w sytuacji konfliktu i to przeważnie natury prawnej. Domagamy się, by mieć wartości chrześcijańskie w przepisach, a zapominamy o tym, że przede wszystkim Kościół ma żyć tymi wartościami na co dzień.

Częste nieporozumienia w dyskusjach o wartościach chrześcijańskich wynikają stąd, że nie określono wcześniej znaczenia tego pojęcia. Przywołując je niektórzy myślą o wartościach ogólnoludzkich, inni o moralności. A przecież, kiedy określamy wartości przymiotnikiem „chrześcijańskie”, to uznajemy, że mają one także cechy przynależne tylko chrześcijanom, odróżniające ich od innych ludzi. Chrześcijanin to człowiek wierzący i ochrzczony. A zatem wartości chrześcijańskie wynikają z ludzkiej kondycji (bo każdy chrześcijanin jest człowiekiem), z wiary w Boga (bo każdy chrześcijanin jest wierzący) oraz z tego, co specyficzne dla sposobu życia i wartościowania ludzi, którzy poprzez przyjęcie sakramentu chrztu stali się uczniami Chrystusa. Gdyby wartości chrześcijańskie nie posiadały tych cech specyficznych, wówczas mielibyśmy do czynienia z wartościami ludzkimi albo

---

<sup>5</sup> P. Poupard, *Pomiędzy...*, 26.

ludzi wierzących. Co mieści się pod pojęciem: wartości chrześcijańskie? Otóż na pierwszym miejscu wiara, położenie ufności w Bogu, na drugim – rozumienie sensu życia i prawda o rzeczach ostatecznych. Wprawdzie są to kwestie fundamentalne dla wszystkich religii, ale stają się chrześcijańskimi wtedy, gdy postrzega się je w świetle nauki Chrystusa. A moralność jest konsekwencją tych prawd. I taki porządek rzeczy powinien panować w dyskusjach i w naszym chrześcijańskim życiu.

Dobrze byłoby, gdyby nasza współpraca z innymi europejskimi wspólnotami kościelnymi realizowała się nie tyle na poziomie materialnym, ile raczej we wspólnym działaniu zmierzającym do postawienia na pierwszym miejscu wartości chrześcijańskich.

Piękną rzeczą jest wyszukiwanie i znajdowanie w innych krajach tzw. parafii siostrzanych. Wspólnoty obu takich parafii mogą zaprzyjaźniać się, wzajemnie odwiedzać, dzielić doświadczeniem wiary i w tak sprzyjającej atmosferze wspólnie porządkować rozłożenie akcentów w myśleniu, wartościowaniu i działaniu członków Kościoła. Często bowiem skupiamy się na praktykach religijnych i moralności, podczas gdy wiara i nadzieja pozostają w cieniu. A tymczasem praktyki religijne i moralność są konsekwencją wiary, nadziei i miłości. W dzisiejszych czasach szczególnej troski wymaga kształtowanie postawy wiary chrześcijańskiej. Bowiem ani wyniesiona z domu rodzinnej tradycja wiary, ani nawet osobiste przeżycia czy doświadczenia, będące źródłem ożywczych wiary, nie mogą stanowić mocnego fundamentu w momentach takich prób życiowych i dziejowych, jakie przeżywamy w naszej epoce. Potrzebna jest świadomie przyswojona i wewnątrznie przetrawiona wiedza o Bogu, znajomość nauki Chrystusa. Potrzebne jest doskazywanie się na poziomie wiary. Nie wystarczy już jakakolwiek edukacja religijna ani slogany słowne. Konieczne jest intelektualne poznanie tego wszystkiego, co zawarte w Objawieniu, a więc pogłębienie znajomości Pisma Świętego po to, by odkryć pełny sens deklaracji zawartej w wyznaniu: *Wierzę w Boga*. Posłuży to świadomemu kształtowaniu uczciwej wiary owocującej jednoznacznym opowiadaniem się po stronie Bożych przykazań ze wszystkimi tego wyboru konsekwencjami oraz uznaniem, że Kościół jest uobecnieniem się Chrystusa w historii świata i naszego życia. Pomoże to na przykład we wspólnym, tzn. nas, Polaków uczących się życia w demokracji i wierzących z krajów europejskich mających za sobą długie lata porządku demokratycznego, zmaganiu się z problemem wybiórczego traktowania spraw wiary, tak jakby dekalog podlegał też demokratycznemu osądowi. Świat zachłysnął się pojęciem demokracji tak dalece, że zaczął ją przykładać także do norm moralnych w przekonaniu, że i nad nimi można debatować. Wyrazem wiary chrześcijańskiej, a jednocześnie jej fundamentem, jest nieustanny kontakt człowieka z Bogiem, dialog ze Stwórcą i Dawcą łask, w którym powierzamy się Mu z pełną ufnością. Dlatego tak ważna jest modlitwa zrodzona z uwielbienia Boga. Jej brak to sygnał słabości lub wręcz utraty wiary. Nauka modlitwy autentycznej, wiążącej chrześcijanina ze Stwórcą na co dzień pozostaje ciągle wielkim zadaniem dla Kościoła. Niezwykle cenne i pomocne mogłoby być organizowanie w każdej parafii tzw. szkoły modlitwy i szkoły medytacji biblijnej. Warto przy tym podkreślić, że stały kontakt chrześcijanina z Bogiem jest dla niego właściwie jedyną szansą na umocnienie się i pozostanie wiernym. Daje siłę potrzebną w życiu i w działaniu oraz dokonywaniu wyborów w świecie ludzkim, a także pozwala uchronić się przed uczuciem osamotnienia, jakie może stać się udziałem człowieka postępującego uczciwie. A to sprawa szczególnie ważna dla człowieka żyjącego w zatamizowanym społeczeństwie XXI wieku i wiele w tej dziedzinie mogą sobie pomóc nawzajem wierni należący do Kościoła na całym świecie.

Ogromne znaczenie ma również przynależność do wspólnoty Kościoła. Ale budowanie tej eklezjalnej wspólnoty przypomina swymi metodami niekiedy tworzenie stowarzyszeń czy też innych grup świeckich. Jestem przekonany, że główną drogą do stawania się wspólnotą eklezjalną jest liturgia sakramentów. To sakramenty są najbardziej więziotwórcze i prowadzą do jedności Kościoła. Niezwykle istotne zatem i potrzebne jest wydobywanie całej wartości

sakramentów – jak najlepsze ich przygotowywanie, jak najpełniejsze ich celebrowanie po to, by uobecnić całą głębię w nich zawartą, by skuteczniej uświadamiać ludziom, co z nich wynika, i pomagać im zrealizować zobowiązania, których źródłem są sakramenty. Otwiera się wielkie pole do współpracy.

W tym zaangażowaniu się w celebrację sakramentów kryje się niebagatelna dla współczesnej Europy szansa obcowania z *sacrum*, którego dostrzegalne zredukowanie czy wręcz wyeliminowanie jest dotkliwym doznaniem i rodzi zrozumiałą tęsknotę wierzących w świecie tak bardzo zlaicyzowanym, który wytrącił człowiekowi z ręki busolę pozwalającą dbać o sprawy najważniejsze dla ludzkiego losu.

Zadaniem Kościoła jest również to, by w edukacji człowieka wierzącego nie zabrakło wiedzy o rzeczach ostatecznych. Jest to tym bardziej ważne dzisiaj, kiedy świat za pomocą różnych instrumentów (choćby mediów) chce zmusić człowieka do nieustannej radości i odsunąć wszelką myśl o sensie cierpienia. Chrystus przecież przyszedł po to, by widmo śmierci przestało być równoznaczne z unicestwieniem.

Bez pogłębionej znajomości nauki Chrystusa wyniesionej z przeczytanych kart Pisma Świętego i uzupełnionej dla lepszego zrozumienia uważną lekturą ksiązek na temat naszej wiary, bez autentyczności modlitewnego kontaktu z Bogiem i bez zrozumienia głębi sakramentów świętych jako wyznaczników drogi chrześcijańskiego wtajemniczenia i wypływającego z nich zobowiązania do wierności Bogu i do doskonalenia się nie sposób dzisiaj budować własnej wiary chrześcijańskiej.

Uważam, że jeśli nie będziemy w pierwszym rzędzie podejmowali wysiłków w celu kształtowania takich postaw ludzi, by ich życie osadzone było na fundamencie autentycznych wartości chrześcijańskich, to Chrystus będzie trwał w przeszłości a Ewangelia będzie martwą literą. Wyjście do tych, którzy nie identyfikują się z chrześcijaństwem nie będzie posłannictwem, lecz propagandą, działalność społeczna stanie się teatrem, charytatywność jedynie filantropią, Kościół będzie partią Jezusa Chrystusa a nie Kościołem Chrystusowym, wspólnota kościelna stanie się organizacją a nie wspólnotą ukształtowaną przez sakramenty, a kult zostanie sprowadzony do ceremonii religijnych, do sprawowania rytów, podczas gdy ma on być kultem całego życia.

Warto więc zadbać o właściwe rozumienie wartości chrześcijańskich i uczynienie z nich stałego punktu odniesienia przy podejmowaniu wszelkich inicjatyw na polu duszpasterstwa. Bowiem próżna byłaby nasza radość z widocznych dokonań i rezultatów, gdyby miało się okazać, że suche już są korzenie tego drzewa, z którego owoców chcielibyśmy się cieszyć.

**Piotr Wojciechowski:** Postulowane zabiegi, są skierowane na pogłębienie wiary osób już wierzących, co jest oczywiście ogromnie ważne. Niemniej jednak wiemy, że jest wielu, którzy nie zapiszą się do szkoły modlitwy, choć im modlitwa jest równie potrzebna. Są tacy, którzy nie garną się do sakramentów i nie wiedzą o skarbach, które Kościół w postaci tychże sakramentów dla nich przygotował. Jak sprawić, aby ludzie chcieli zawierać w Kościele związki małżeńskie, chrzczyć swoje dzieci, przystępować do bierzmowania? Ta zewnętrzna działalność apostołska jest równie ważna jak ta skierowana do wewnątrz, ku pogłębieniu wiary i doskonaleniu modlitwy.

**Maciej Howiecki:** „Mam wrażenie, że w Kościele nie zrozumieliśmy jeszcze dobrze wyzwania, jakie niosą środki społecznego przekazu i nie potrafimy naprawdę posługiwać się nimi.(...) nie mamy świadomości środków przekazu.(...) powoduje to dwa przeciwstawne skutki: przesadną fascynację lub potępienie.” Nie są to moje słowa, ale kardynała Carlo Marii

Martiniego i to sprzed 13 lat<sup>6</sup>. Całkowicie zgadzam się z tą opinią i często wypowiadam podobną: nie zrozumieliśmy jeszcze wyzwania, jakie niosą media!

O tym wyzwaniu można mówić godzinami. Ograniczę się do paru stwierdzeń i przypomnę parę złudzeń, jakie mamy na temat mediów.

Na początek możemy się zgodzić z takim faktem wyjściowym: żyjemy w czasach, kiedy to przede wszystkim media kształtują świadomość społeczną i tzw. masową wyobraźnię. Takie społeczeństwa, uzależnione od środków przekazu, czyli z m e d i a l i z o w a n e (brzydkie słowo, ale na razie nie ma innego) odznaczają się pewnymi cechami. Dla uproszczenia, sytuację w Polsce, wynikającą zresztą z ogólniejszych przyczyn (m. in. z głębokości przemian, transformacji), nazwę < problemem czterech „a” >.

Po pierwsze: „ludzi zmedializowanych” charakteryzuje niedostatek wewnętrznej a u t o n o m i i. To znaczy, iż są to ludzie nadmiernie uzależnieni od czynników zewnętrznych. Od mediów właśnie, od ekspertów, których błędnie uznają za autorytety moralne, od polityków, od instytucji, od państwa itd.

Zwracam uwagę na niezwykle paradoks: w świecie coraz większej wolności dla jednostki i powszechnego poczucia, że w imię tej wolności musimy godzić się niemal na wszystko i wszystko tolerować – rośnie psychiczne zniewolenie jednostki.

Po drugie, „ludzi zmedializowanych” charakteryzuje a n o m i a. To znaczy stan załamania głównych wartości moralnych i norm społecznych, lekceważenie ich, rozpadanie się przez to więzi społecznych. Anomia wedle greckiego źródłosłowu, to życie pozbawione dobrych reguł, chaotyczne.

Po trzecie, pojawia się wśród nas a g n o z j a. Ten termin w medycynie oznacza objaw neurologiczny, który polega na niemożności rozpoznawania rzeczy znanych. W przenośni, w życiu codziennym byłaby to zatem niechęć, już chyba świadoma, do nazywania rzeczy po imieniu. Jest to zacieranie różnic pomiędzy prawdą i nieprawdą, dobrem i złem, prawością i nieprawidłowością. Tego, nawiasem mówiąc, uczą nas niektóre media, to jest pewna nowa filozofia patrzenia na rzeczywistość.

Uważam, że nawet niektóre kręgi kościelne i media katolickie ulegają temu dziwnemu lękowi – by nie zająć jasnego stanowiska w kontrowersyjnej sprawie. Natomiast ludzie, tęsknią za wyrazistością przekazu, za tzw. otwartym tekstem, jasnym stanowiskiem. Mogą się z tym stanowiskiem nie zgodzić, ale nie znoszą tak modnego dziś mętniactwa .

Wreszcie, po czwarte, nieszczęściem występującym wszędzie, ale w Polsce szczególnie, bo podsycanym przez wpływowe grupy polityczne, jest a m n e z j a historyczna. To znaczy niepamięć historii, tradycji, doświadczeń narodowych. Amnezja prowadzi do zakłamania, fałszowania historii, wypiera z pamięci pokoleń to, co pozwoliłoby im łatwiej pojąć współczesność.

Nie jest trudno zauważyć, że Polacy mają trudności w samoorganizacji społecznej, niechętni są w aktywności publicznej (tej w sensie obywatelskim) i zamiera prawdziwa opinia publiczna. Wyraża się to m.in. w braku skutecznej reakcji na wielkie wady własne, wady porażające nasze życie, nasze instytucje, nasze akty. Zaś razem to wszystko nazywa się zmniejszeniem się kapitału społecznego albo aksjologicznego. Ten kapitał – to zbiór wartości i norm, umożliwiający ludziom współdziałanie i dążenie do wspólnych celów.

Mówię tyle o wadach, utrudniających Polakom stanie się społeczeństwem obywatelskim, ponieważ uważam, iż zwalczanie tego typu wad, ich uświadamianie ludziom, jest również obowiązkiem Kościoła i szczególnie dla niego wyzwaniem tu i teraz. Dodam, bo bywam posądzany o czarnowidztwo, iż opis wad nie oznacza, że nie ma zalet, lub że nie istnieją coraz większe oazy zmian na lepsze. Tyle, że są to wciąż oazy, zaczątki czegoś nowego, co trzeba podsycać.

---

<sup>6</sup> Cyt. Za : Przegląd Powszechny Nr 9/1992, *Środki społecznego przekazu w Kościele*

Można oczywiście długo wymieniać przyczyny nasilenia się tu i teraz wad społecznych. Byłoby dużym błędem winić za to wyłącznie media. Ale też z podkreślanego stale względu na ich ogromny udział w kształtowaniu naszej świadomości i postaw, rozumiemy, że mogą one działać bardzo skutecznie i w dwu kierunkach.

Mogą, na przykład, uczyć zachowań obywatelskich, bronić demokracji, wzmacniać wartości i proponować dobre wzory we wszystkich dziedzinach życia (także w rozrywce). Mogą stanowić forum publicznych dysput i ustrzeżać ludzi przed zagrożeniami ze strony ich samych i ich instytucji. To znaczy właśnie – mogą zwiększać kapitał społeczny.

Mogą wszakże osłabiać więzi społeczne, burzyć systemy wartości, uśmierzać wartości i postawy fair, wzmacniać agresję i zachowania antyspołeczne, niszczyć instytucje i ludzi, cieszących się zaufaniem. Mogą uczyć złych wzorów, szerzyć ignorancję i mierność, a przede wszystkim lekceważyć prawdę. To znaczy – mogą niszczyć kapitał społeczny.

Oczywiście, w życiu codziennym oba te wzory zachowań medialnych przeplatają się, rzadko występują w stanie czystym. Z tym, że jak dobrze wiemy, łatwiej czynić zło i łatwo do tego zła dorabiać usprawiedliwienia.

Powtarzam tyle razy: media mogą bardzo dużo. A skoro mogą, to znaczy istnieje coś w rodzaju wolnej woli mediów, a przynajmniej szeroki wymiar ich niezależności.

Doszliśmy do głównego mitu na temat mediów: że są one niezależne. Otóż nie, nie są niezależne. Nie mylmy przy tym wolności słowa (ta jest u nas pełna, formalnie nie ma prawie ograniczeń) z niezależnością (ta jest niepełna wszędzie, gdzie nigdzie nie ma jej wcale). Powtórzę przenieśnię, którą często powtarzam. Media i dziennikarze tkwią w obcęgach, których jednym ramieniem są polityczne interesy właścicieli i stojących za nimi grup, politycznych i kapitałowych. Drugim ramieniem są wymogi wolnego rynku, czyli interesy ekonomiczne (zyski !) właścicieli. W uścisku tych obcęgów, a w Polsce jeszcze przy braku dobrego prawa medialnego (które by chroniło zwłaszcza niezależność samych dziennikarzy) – swoboda poczynań dziennikarskich jest poważnie ograniczona. Do tego dochodzi zbyt rzadkie wśród naszych dziennikarzy zrozumienie ich własnej odpowiedzialności wobec odbiorców, kult gwiazdorstwa i częsty brak profesjonalizmu (nie znają się dobrze na tym, o czym mówią). Oczywiście, uogólnienia są niesprawiedliwe, ale zwracam przy tym uwagę, że właśnie media, jako pewien system działający najsprawniej w demokracji i mający tę demokrację gwarantować i kontrolować, same nie są poddane demokratycznej kontroli – bo i kto miałby ją spełniać? Ale stoją niejako ponad demokracją- właśnie jako jej gwaranci i kontrolerzy. To jeszcze wzmacnia odpowiedzialność dziennikarzy, którzy muszą się sami kontrolować.

Oto kolejne wyzwanie dla wszystkich: jak sobie radzić z tą sytuacją, nie niszcząc przy tym tak delikatnej i podstawowej wartości, jaką jest wolność słowa, swoboda jednostki i zarazem interes społeczny – czyli właśnie wartości spajające wspólnotę.

Nie mogę się tu powstrzymać od refleksji – jak dużo mówi się o wolności jednostki, wolności indywidualnej, a jak mało o odpowiedzialności, będącej tej wolności wynikiem, a jak mało o interesie społecznym. „Interes społeczny”, czyli wspólny – to brzmi wręcz podejrzanie, naszym intelektualistom rzadko przechodzi to przez gardło. Ale w Kościele i mediach musimy ten wspólny interes określać i przekonywać do niego ludzi.

I w Kościele, i w mediach ... co najbardziej łączy Kościół z mediami? Między innymi to, że obie te instytucje są uczestnikami, bardzo aktywnymi, komunikacji społecznej, czyli porozumiewania się ludzi, choć oczywiście misja Kościoła jest inna, niż misja mediów. W obszarze medialnym, czyli w tym zakresie, za który odpowiadają media, komunikacja społeczna jest bardzo zubożona, jednostronna. Jesteśmy raczej tylko biernymi odbiorcami przekazów medialnych, nie potrafimy ocenić ich krytycznie. Żeby komunikacja społeczna służyła wzajemnemu porozumieniu się, dialogowi i zrozumieniu rzeczywistości, musi podlegać pewnym regułom moralnym. Musi być – jak to mówią specjaliści – normatywna.

Najkrócej można to ująć, iż powinna być oparta na prawdzie. W tym miejscu natykamy się na kolejny mit na temat mediów – sądzimy, że powinny one mówić prawdę, pełną i tylko prawdę. Otóż z wielu powodów nie jest to możliwe. „Wystarczy, byście nie kłamali” – mówi do dziennikarzy Jan Paweł II i wydaje się, że jest to wystarczający fundament życia, a komunikacji w szczególności. W dodatku to akurat jest możliwe do spełnienia i tego wolno nam żądać od mediów. Ale za to n i e k ł a m a n i a należy wymagać bezwzględnie, niezależnie – podkreślają z naciskiem – od tzw. opcji politycznej danego medium, w szczególności zaś musi się tego wymagać od mediów katolickich, chrześcijańskich w ogóle. Na tym – na niekłamaniu właśnie – polega to, o czym się tyle dziś mówi – to znaczy owa rzetelność informowania, pierwszy obowiązek mediów. Od rzetelności informowania zależy z kolei wiarygodność dziennikarstwa, a to jest jego wartością. Ocenie wiarygodność, rzetelność – wcale nie jest łatwo – trzeba się tego uczyć. Jestem zdania, iż nauka rozpoznawania rzetelności mediów (i zatem stosowanych w nich manipulacji, czyli niezależności) powinna zaczynać się w szkole – a w przypadku duszpasterzy, którym taka wiedza jest niezbędna – w seminariach duchownych.

Skoro jesteśmy przy informacjach, zgodzimy się wszyscy że mamy do czynienia z ich chaotycznym nadmiarem, natłokiem. Nawet, jeśli założymy, iż wszystkie są prawdziwe, musimy uznać, że większość jest niepotrzebna, my zaś nie potrafimy odróżnić – na ogół nie potrafimy – które są potrzebne. Jednocześnie wiemy, że i tak podawane nam informacje są wybrane przez nadawców z oceanu informacji. Wybór, czyli selekcja, zależy od kompetencji, uczciwości i wrażliwości dziennikarza. Przypominam o tym, byśmy zdawali sobie sprawę z ciągłej obecności etyki w przekazach. Albo ... z jej nieobecności.

Większość ludzi uważa, iż dobre poinformowanie jest podstawą dobrych wyborów – życiowych i politycznych. To prawda – pod warunkiem, że owa dobra i wystarczająca informacja układa się w s p ó j n y s y s t e m w i e d z y o rzeczywistości. Ta spójność wiedzy zależy tylko w części od mediów (mówimy wciąż o informacji medialnej) – w większej części zależy od czegoś, co nazywa się kompetencją poznawczą odbiorców informacji, czyli nas. Kompetencja poznawcza zależy zaś od wykształcenia, stanu kultury, poziomu życia publicznego, języka itd.

Ogromnym błędem, umacnianym przez media, jest przecenianie tzw. badań opinii publicznej, czyli masowych ankiet i sondaży na temat tego, co myślimy o danej sprawie. Na ogół nie wiemy, że „to, co myślimy” – tzn. co odpowiadamy na pytania, zależy w dużej mierze od samego pytania... Nadto ludzie zwykle są przekonani, że opinie powszechne są zawsze prawidłowe, tj. że większość ma rację i chętnie dostosowują się do większości.

Otóż jest wyjątkowo ważne, by pamiętali o tym duszpasterze: po pierwsze, osąd większości nie musi być mądry i czasem może być tak, że to mniejszość ma rację, a czasem nawet jeden przeciw wszystkim może mieć rację.

Po drugie, opinia większości nie rozstrzyga kwestii – moralnych i nie wolno ustalać zasad etycznych na podstawie badań opinii publicznej.

Naturalnie, zastrzeżenia powyższe nie przekreślają znaczenia badań opinii publicznej ani roli tej opinii w demokracji, ani tego iż media muszą tę opinię większości – ale razem z opiniami mniejszości – pokazywać, a politycy ją uwzględniać. Wszakże wielkich mężów stanu poznaje się po tym, iż szanując opinię większości potrafią się jej przeciwstawić wtedy, kiedy wymaga tego interes wspólnoty, narodu. Miernoty polityczne poznaje się po tym, że chcą się zawsze przypodobać opinii, jednocześnie naprawdę ją lekceważąc.

Przedstawiam kolejne błędy w ocenie mediów. Oto jesteśmy przekonani, że znikła raz na zawsze cenzura. Owszem, u nas np. Sejm zniósł ją w 1990 r., nie ma cenzury formalnej, urzędowej. Ale nigdzie na świecie nie znikła całkowicie. Po pierwsze, trwa w formie antycenzury, co oznacza, że dziennikarz musi się liczyć z wymaganiami tych, którzy płacą za pracę. Po drugie, trwa w formie pewnych powiedzmy mód intelektualnych, pewnych

namacalnych koncepcji ujmowania rzeczywistości. Mam na myśli to, co nazywa się poprawnością polityczną i stało się swoistym terrorem intelektualnym. U nas terror propagują tzw. salony warszawskie i krakowskie, oraz niektóre media – ale mniejsza o to. Powtórzę raz jeszcze, bo uważam to za jedną z przyczyn obniżenia się standardów moralności: poprawność polityczna, niezależnie od jej pozytywnych korzeni, doprowadziła do tego, iż ludzie czują lęk przed obroną wartości. Nie chcą być poczytani za nietolerancyjnych oszołomów. Z kolei inni „przeżynają” w drugą stronę, równie szkodliwą: zamiast obrony wartości, skupiają się wyłącznie na ataku na ludzi, którzy ich zdaniem tych wartości nie wyznają.

Jeszcze jedna uwaga na temat cenzury. Jest to pojęcie szczególnie nam wstrętne, bo Polacy musieli wiele lat żyć w okowach cenzury. W związku z tym gotowi jesteśmy, że niczego nie wolno potępiać, albo inaczej – wszystko wolno powiedzieć i pokazać, ponieważ w przeciwnym wypadku „nakładamy cenzurę”

Otóż jest to bardzo ciekawe pytanie, dotyczące mediów: czy istnieją jakieś granice tego, co mogą one przekazać? Nad tym problemem mogliśmy – i zapewne powinniśmy – dyskutować długo. Ale z braku czasu muszę taką tezę postawić bez dowodu: oto nie jest obojętna z moralnego punktu widzenia ani treść, ani forma przekazu moralnego. Pewnych rzeczy – przynajmniej w naszym kręgu kulturowym – się nie pokazuje. Na przykład prawdziwej śmierci czy agonii, prawdziwej rozpacz, tortur czy też pewnych zachowań ludzkich, które uznajemy za godzące w nasze poczucie wstydu, intymności. Nie przekazują się z bliska twarzą umarłych, nie pokazuje się okaleczeń. Nie podaje się nazwisk i nie pokazuje twarzą osób podejrzanych o cokolwiek, jeśli ich wina nie została dowiedziona itd. Można jeszcze długo wymieniać, zresztą owe „granice dla mediów” wymieniane są w wielu ich kodeksach etycznych. By dokładniej sprecyzować, co mam na myśli, a nie być posądzonym o chęć wprowadzania cenzury, posłużę się cytatem z kwestii Irvinga Kristola, amerykańskiego filozofa idei: „Szczucie niedźwiedzia i walki kogutów zostały zakazane nie tylko z powodu współczucia dla zwierząt. Głównym powodem ich zniesienia było przekonanie, że upadły one człowieka i wzmacniały agresję u widzów (...)”<sup>2</sup>

Myślę, że wielu z nas oczekuje, by Kościół wyraźnie wskazywał, jakie są granice przekazów i gdzie zostają one przekraczane. Być może to samo dotyczy sztuki, jeśli obraża ona nasze uczucia religijne.

Media często ulegają temu, co można nazwać „przemocą rozrywki” zarzut ten broń Boże nie oznacza, że rozrywka jest rzeczą złą. Zabawa i rozrywka są naturalnym prawem ludzi – przypominam tę banalną prawdę dlatego, że niektórzy katolicy w ogóle gotowi są ponurość uważać za przejaw doskonałości i chętnie by tępił radość życia. A to właśnie wrogowie Kościoła wmawiają nam, że Kościół chce nam odebrać ową radość życia. W sprawie rozrywki trzeba powiedzieć tylko jedno: zagrożenie istnieje, ale tkwi w tym, że media zaczynają w ogóle wszystko traktować w kategoriach rozrywki. (Amerykanie uknuli nawet termin, który w polskim żargonie medialnym brzmi < inforywka > i oznacza połączenie informowania z rozrywką, dziennik telewizyjny ma być rozrywką). Rozrywkę zaś pojmuje się w kategoriach czegoś wyjątkowo głupiego i prymitywnego - czym dowodzi się wprost pogardę dla społeczeństwa, które rzekomo nie jest w stanie przyjąć innej rozrywki. Mamy zatem kolejne wyzwanie: walka o godziwą formę rozrywki, o jej poziom.

Wreszcie kilka słów na temat agresji i przemocy w mediach. Na ten temat powiedziano najwięcej i najwięcej zrobiono badań. Mogę tylko jak najkrócej streścić ich wyniki. Otóż jest faktem niezbitym, że agresja i przemoc w mediach (zależnie od ilości przekazów i zwłaszcza ich formy) ma destrukcyjny wpływ na dzieci i młodzież. Przejawia się to w naśladowaniu różnych przejawów agresji (modelowanie agresji!) i przede wszystkim w podnoszeniu ogólnego poziomu zachowań społecznych (wzmacnianie agresji). Naturalnie byłoby wielkim

---

<sup>2</sup> I. K r i s t o l, *On the Democratic Idea in America*, 1973 (wyjątek z książki druk. w „W Drodze” 10/1993, tłum. Andrzej Klonowicz)

uproszczeniem sądzić, że za wzrost agresywności, zubożenia i stopienia wrażliwości odpowiedzialne są tylko media. Ale byłoby też bardzo niefrasobliwe usprawiedliwianie mediów w tym względzie, a walki z przemocą i drastycznością w mediach nie wolno traktować jako jeszcze jednego wymysłu fundamentalistów chrześcijańskich.

Na koniec (choć daleko mi do końca tego, o czym chciałbym tu przypomnieć...) powiem, że zarówno dziennikarzom, jak i każdemu z nas, którzy mają do czynienia z produktami ich pracy, a także wszystkim, którzy mają za zadanie ukazywanie dobra i ostrzeganie przed złem – otóż właśnie wszystkim potrzebna jest znajomość form manipulacji medialnej. Istnieje na ten temat sporo opracowań. Niech mi będzie dowodem nieskromności przypomnienie, iż napisałem książkę na ten temat, przeznaczając ją właśnie dla ogółu i dla duszpasterzy także. Wydało ją Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej „Gaudium” i nosi tytuł: *Krzywe zwierciadło. O manipulacji w mediach* (2003).

O manipulacjach w mediach uczą studentów dziennikarstwa. Ale uczą ich także niedowierzania b e z s t r o n n o ś c i, którą się uważa za podstawową, uniwersalną, konieczną cechę współczesnego dziennikarstwa. Niedowierzajcie bezstronności, jeśli oznacza ona zrównywanie dobra ze złem, prawdy z fałszem, prawości nieuczciwością – bo wtedy staje się właśnie stronniczością.

Kończę słowami Jana Pawła II, które wydają mi się szczególnie na miejscu właśnie tutaj: „(...) wielkość moralna osoby rośnie bądź maleje w zależności nie tylko od słów, jakie człowiek wypowiada, ale również od przekazu, jaki decyduje się odbierać.”<sup>3</sup>

Otóż to: pomagajmy ludziom w wyborze przekazów medialnych, pamiętając zarazem, że pomoc w wyborze nie jest narzucaniem wyboru.

**Piotr Wojciechowski:** Sądzę, że wystąpienie red. Macieja Iłowieckiego prowokuje nas do postawienia sobie zasadniczych pytań dotyczących tego, kto i w jaki sposób ma żądać prawdy i przyzwoitości w mediach oraz czy społeczeństwo zmedializowane może sobie takie mechanizmy kontroli mediów i przeciwstawiania się im wytworzyć, a także jak sprawić, żeby Kościół docenił w końcu rolę mediów.

**Małgorzata Chmielewska:** Powracając do tematu heroizmu, warto zadać sobie pytanie do czego wzywa nas Chrystus. Niewątpliwie do heroizmu, przy czym każdego w innym miejscu i w innej mierze. W mojej opinii Kościół nie może się obejść bez troski o ludzi ubogich, a krocząc drogą ewangeliczną spotykamy się z człowiekiem ubogim i traktujemy człowieka ubogiego jak brata. Co więcej, ja jestem głęboko przekonana, rozmawiając z młodzieżą i obserwując młode powołania w Kościele zachodnim, że tylko rzeczywiste świadectwo życia ma moc misyjną, ewangeliczną. Oczywiście, nie neguję konieczności głoszenia i nauczania, ale to należy do innej kategorii. Myślę, że jako chrześcijanie i oczywiście katolicy jesteśmy rozpoznawani po stylu naszego życia, z kim żyjemy i z kim przebywamy. Tak, jak rozpoznany był Chrystus. Ojciec Święty poruszył ten temat w encyklice *Familiaris Consortio* wzywając rodziny do dawania heroicznego świadectwa życia z ludźmi ubogimi. Pamiętajmy o tym, że młodzież jest bardzo wyczulona na wszystko, co szczerze i autentyczne, szuka żywego świadectwa i nie skusi się na nasze dzielne okrzyki. Przyjdzie do nas wtedy, gdy będziemy świadczyć o tym, co mówimy, naszym życiem.

Wracając do tematu mediów – mam wrażenie, że Kościół sam jest potężnym medium. Nie wiem, ilu ludzi uczestniczy w niedzielnych Mszach św., ale gdyby stacje radiowe miały tytuł słuchaczy, co kapłan w czasie homilii i podczas ogłoszeń parafialnych, to myślę, że niektóre bardzo by się ucieszyły. Czy to medium jest dostatecznie wykorzystywane? Jak

---

<sup>3</sup> Z orędzia do dziennikarzy z marca 2004 r

wykorzystuje ten czas kapłan celebrujący Mszę św. i mający przed sobą (w niektórych wypadkach) znaczny procent mieszkańców danego terenu?

Chciałabym jeszcze podzielić się swoimi obawami dotyczącymi autorytetów, pluralizmu i demokracji, które mogą doprowadzić do tego, że Kościół stanie się stowarzyszeniem i partią Jezusa Chrystusa. Osobiście widzę duże takie niebezpieczeństwo. W mojej francuskiej wspólnotie nastąpił zupełny upadek autorytetu i *sensus Ecclesiae*. Jest to bardzo bolesne. Niedawno miałam spotkanie z trzema naprawdę wspaniałymi i głęboko wierzącymi, modłącymi się biskupami francuskimi, którzy w pewnym momencie, w rozeznaniu sytuacji niezwykle prostej, nie potrafili zająć stanowiska. Powodował nimi lęk przed narażeniem się komukolwiek. Bali się wyrazić własną opinię, która mogłaby być niezgodna z powszechnie panującą poprawnością polityczną. Niestety, tego typu mentalność przychodzi do nas. Kiedy ludzie ze świata biznesu i polityki proszą mnie o anonimową rozmowę na tematy duchowe, to dlatego, że próbuję żyć zgodnie z głoszonym słowem. Bez ciągłego nawracania się ku prawdzie w naszym osobistym i wspólnotowym życiu jako polskiego Kościoła, nie będziemy mogli dać żadnego daru innym Kościołom. Ponadto nie możemy zapominać o roli laikatu odkrywającego swoje własne powołanie do świętości, który stanowi nieprawdopodobne bogactwo. Bo inaczej w przyszłości będzie to katolicyzm ograniczający się do chodzących w habitach.

**Elżbieta Wolicka:** W mediach pojawia się dominacja myślenia utylitarnego. Dotyczy to także w większości publicznych wystąpień. Czym się ona wyraża? Moim zdaniem (i tutaj schodzę już w warstwę nieco głębszą tej utylitaryzacji) na położeniu akcentu nie na cele, zwłaszcza na te dalekosiężne czy uważane za nieco głębsze i ważniejsze, ale na skuteczność środków i sposobów, czyli na tzw. sukces i wygraną w określonej sytuacji. Z tym utylitaryzmem myślenia, z tą przewagą myślenia w kategorii skutków i środków do ich osiągnięcia łączy się coś, co nazwałabym też hasłowo urynkowaniem kultury. Urynkowaniem, które wiąże się z utylitaryzacją. Właściwie współczesne trendy kulturowe przekonują nas, że wszystko w gruncie rzeczy sprowadza się do takiej niewidzialnej ręki rynku. Innymi słowy wpaja się nam przekonanie o pewnego rodzaju spiskowym mechanizmie historii, że o wszystkim tak czy inaczej decyduje rynek i jego decydenci, czy też liderzy w rozgrywkach rynkowych. To o czym wspomniałam, o tym spychaniu Kościoła, chrześcijaństwa, chrześcijan do pewnego rodzaju enklawy w ramach kultury, tutaj także ma swoje miejsce. Chrześcijaństwo i Kościół wszystkimi możliwymi siłami powinni się sprzeciwiać zredukowaniu siebie do roli graczy lub rozgrywających na rynku kultury. Bez względu na to czy mamy na myśli rynek dóbr konsumpcyjnych, rynek dominacji w mediach, czy rynek idei. Idei czyli ideologii. Wydaje mi się, że tutaj leży sedno tego, czym chrześcijaństwo w gruncie rzeczy jest.

Kultura schodzi z poziomu idei do poziomu obrazków i emocji, gdyż to jest chodliwe na rynku i w mediach. Z tym należy się uczyć liczyć. Nie w tym znaczeniu, że to obrazki i emocje są tym diabłem, z którym Kościół powinien walczyć. Być może nie zawsze właściwie się je wykorzystuje bądź w bardzo doraźnych, pragmatycznych, utylitarnych celach, którymi trzeba się posłużyć do czegoś innego. Może udostępniając szerszej publiczności coś więcej niż tylko to migotanie obrazków? Tylko warto pamiętać, że te środki są w coraz szerszym obiegu. Wiąże się to z monopolizacją nadawców. To jest ten ukryty rak, który draży kulturę dialogu. Nadawcy wchodzą na rynek medialny, propagandy, ideologii itd. I tutaj znów Kościół powinien się wystrzegać wejścia w ten model konkurencyjny, tzn. nie stawać się jednym z nadawców, którzy walczą o opanowanie pola na rynku., tylko o coś więcej. Jeszcze tylko słowo o rozpacz. Wydaje mi się, że istnieje tu zjawisko bardzo poważne, z którym chrześcijaństwo i Kościół powinny się liczyć. Mianowicie niesłyszana i niedostrzegana dostatecznie pluralizacja tego, co nazwałabym cierpieniem we współczesnej kulturze.

Najbardziej widoczne i stosunkowo najłatwiejsze do zdiagnozowania jest cierpienie materialne w różnych swoich odmianach, ale chodzi także o cierpienia duchowe. Wydaje mi się, że tu kultura (kultura współczesna, zwłaszcza ta obrazoburcza kultura laicka) wręcz bombarduje nas sygnałami o wielorakości, złożoności owego cierpienia duchowego. I sądzę, że trzeba się liczyć z autentycznością tego świadectwa oraz z tym, co jeden z publicystów nazwał „rynkową wyprzedają rozpaczy”.

**Andrzej Draguła:** Myślę, że Kościołowi grozi poczucie pewnej wyższości kulturowej. Wiąże się to z przekonaniem, że Kościół może łączyć się jedynie z kulturą wysoką, a Kościół i Ewangelię da się wyrazić jedynie w kulturze wysokiej. Bardzo często owocuje to tym, że na kulturę niską (popularną) reagujemy wzgardliwym wyęcieniem warg. Nic nas ona nas nie obchodzi, a na pewno nie dotyczy. Gdyby tak było, to muszę powiedzieć, że na Przystanku Woodstock mamy do czynienia z absolutnym ubóstwem kultury wysokiej. Można się obrazić na muzykę, której młodzi ludzie słuchają, na filmy, które oglądają, można się obrazić na sposób, w jaki mówią, na ubiór, jaki noszą. Czy taka postawa przyniesie jakieś efekty? Absolutnie nie. Podejście obrażonego wobec ubóstwa kulturowego, z poczuciem wyższości, jest podejściem złym. Kontaktując się z tym środowiskiem młodzieżowym przez lata całe, chociaż ciągle czuje się bardziej księdzem zza biurka, niż z frontu, zainteresowałem się np. kulturą hip-hopową. Przeanalizowałem teksty wielu twórców hip-hopowych i znalazłem tam absolutnie cudowne rzeczy. Piękne rzeczy o Bogu, o rzeczywistości, o sensie życia. Nie można się na to obrażać, tylko trzeba słuchać. Bo jeżeli przyjedziemy na Przystanek Woodstock czy na jakikolwiek inny aeropag ewangelizacyjny przede wszystkim z nastawieniem obrażenia się na to, że oni są inni, a w podtekście myślimy gorsi, ponieważ posługują się kulturą niską, a nie kulturą wysoką, to sądzę, że stoimy na przegranej pozycji. Druga rzecz: nie obrażałbym się tak bardzo na kulturę obrazkową i kulturę emocjonalną. Bo myślę, że to jest bardzo ważny dylemat, który pewnie będzie do końca życia naszego nierozwiązany. Czy chrześcijaństwo się poznaje, czy chrześcijaństwo się przeżywa i doznaje. Jest taki tekst ewangeliczny, o tym, że Apostołowie zmierzają do Emaus, a potem mówią o spotkaniu z Jezusem: *czy serca nam nie pałały, kiedy Pisma nam wyjaśniał*. Otóż tekst grecki pozwala, a nawet nakazuje nam inne tłumaczenie. Powinno być: „czy nie pałały nam serca, gdy Pisma nam otwierał”. My, moim zdaniem, mamy nieco skrzywienie intelektualne. Za mało otwieramy pisma, za mało otwieramy Kościół i za mało dajemy doświadczenie Kościoła, a zbyt wiele ciągle pokładamy nadziei w to, że jak wytłumaczymy i wyjaśnimy, to nastąpi poznanie, a więc jakaś *gnosis*, która ich doprowadzi do Kościoła. Nie obrażałbym się na obrazki, bo przecież rytuał jest obrazkowy. Nie obrażałbym się na gitarę tak od razu z góry, bo nie da się jej wprowadzić do Eucharystii. Myślę, że należy najpierw dać szansę tym ludziom, a później wprowadzić całą pedagogię. Trzeba ich uczyć także innej kultury. Ale na pewno trzeba to zrobić stopniowo. Zaakceptujmy ich poetów, rozmawiajmy z nimi, a później uczmy.

**Leszek Slipek:** Możemy budować wiele rzeczy, lecz najpierw należy zadbać o fundament. Działalność społeczna należy do kultury Kościoła, ale przypuszczam, że obecnie w wielu przypadkach nie płynie ona z najczystszej tylko źródła. Chcemy się pokazać światu – jesteśmy potrzebni, bo ten świat bezbożny docenia pomoc materialną i dlatego nachylamy się na rzecz ducha świata, żeby nas uznano. A przecież, jeśli ta pomoc nie płynie z pogłębionego ducha wiary, może być teatrem. Oto w pewnym momencie moja parafia pomagała ludziom z Zimbabwe, ponieważ wiceproboszcz pojechał tam na misje. Kiedy okazało się, że ludzie, którym on posługuje, głodują, parafianie postanowili na święta przesłać im pieniądze. I wtedy postawili pytanie, co jest najważniejsze? Najważniejsze było to, by ci ludzie, niezależnie od tego czy obfitują, czy głód cierpią, potrafili być darem dla Boga. Czyli – nie mamy dawać?

Jeszcze bardziej. Tylko sposób dawania pokazuje pewną głębię i potem owoc wydaje się większy. Napisali list, który został odczytany w naszej parafii i w parafii Zimbabwe, że to, co mamy, nie jest nasze, chociaż tak to nazywamy, tylko wspólne – naszego Ojca. Dlatego dzielimy się i razem śpiewamy *Magnificat*. Ważne jest to, żeby nie sprowadzić wszystkiego do filantropii, tylko by to wynikało z głębi wiary z tego, że jesteśmy braćmi. I dlatego zwracałem uwagę, że jeżeli człowiek będzie człowiekiem modlitwy, wiary przeżywający swoje życie jak nomada, to wówczas on sam będzie odnajdywał sposoby dotarcia do ludzi. Nie będzie zakopywał talentów, będzie czuł apostolskość. Myśląc o młodzieży trzeba przyjąć do wiadomości, że młodzi w pewnym momencie uciekają od wszystkich autorytetów i kochają rzeczy zakazane. I tak jak rasowy pies czasami się wytarza w nieczystościach, tak ten młody człowiek musi przeżyć stan odejścia od pewnych zasad, w których został wychowany, żeby z perspektywy pewnej na nie spojrzeć. I tego można się nie bać, ale wydaje się, że myśmy zapomnieli niekiedy o tym, że powinno się wychowywać w duchu dobrych, tradycyjnych zasad: uczciwości, prawdomówności, poświęcenia, bo inaczej będziemy gorzko płakać. Młodego człowieka trzeba trenować, stawiać mu zadania i rozliczać go z tych zadań. Wtedy nauczy się być odpowiedzialny za siebie. I tego mi brakuje dzisiaj w duszpasterstwie młodzieży. Tego drugiego skrzydła. Powracając do tematu mediów, uważam, że aby pracować w mediach katolickich, trzeba mieć wiedzę i pazur. Pismo katolickie powinno obejmować sfery życia od poniedziałku do soboty, nie może to być przegląd spraw wyłącznie niedzielnych. Trzeba pokazywać życie człowieka, które toczy się za drzwiami, co jest realizowane w niewielkim stopniu. Oto, dlaczego do mediów należy wybierać najlepszych. Mam takie wrażenie, że czasami media katolickie tworzy zespół nieudaczników. Ludzi, którym gdzie indziej się nie udało. Trzeba mieć najlepszych dziennikarzy i dobrze im zapłacić. Mówimy o rzeczach pozaziemskich, ale żyjemy na ziemi i uczciwy człowiek oczekuje uczciwej zapłaty i takiej, która na rynku występuje w danej branży. Jeśli tego nie dostanie, może mieć najlepsze intencje, ale znajdzie pracę, która z katolicyzmem nie ma nic wspólnego. Potrzeba również troski o to, by w mediach katolickich działali ludzie głęboko wierzący i związani z Chrystusem, bo ich działanie może szkodzić Kościołowi. Często zabierają głos ludzie świeccy działający w ramach mediów katolickich, uważając, że doskonale, bezbłędnie wiedzą, jaki powinien być Kościół. Chcą, by był zgodny z ich przeświadczeniem. Natomiast na boku zostawiają Kościół prawdziwy. Nie są dobrze wykształceni. Można skończyć wydział dziennikarstwa i niewiele umieć albo ukończyć inny kierunek studiów, zrobić studia podyplomowe i wtedy zostać specjalistą - dziennikarzem danej dziedziny. Natomiast odnosi się wrażenie, że ci, którzy mówią o tematach religijnych, nawet mając wieloletnie doświadczenie pracy w telewizji, poruszają się jak słoń w składzie porcelany.

**Maciej Howiecki:** Raz jeszcze podkreślę zasadnicze pytania: Kto ma żądać prawdy i rzetelności w mediach? Jak sprawić, żeby Kościół się w to włączył? Wracając do tematu rozrywki w mediach, ważne, żebyśmy nie zostali z wrażeniem, iż rozrywka jest rzeczą złą. Wręcz przeciwnie. To wrogowie Kościoła zarzucają mu jeszcze i dziś, że jest on przeciw radości życia. Media, niestety, ulegają temu, co się nazywa przemocą rozrywki, gdzie wszystko, włącznie z dziennikiem staje się rozrywką i powstaje twór, który Amerykanie nazywają „info-rywką”. Jak temu zapobiec? Przede wszystkim w programach kształcenia trzeba uwzględnić wiedzę o tym, jak działają media. Z doskonałym skutkiem taką edukację prowadzą już Amerykanie i Anglicy. Jestem zdania, że nauka rozpoznawania rzetelności mediów, stosowanych w nich manipulacji, rozpoznawania ich nierzetelności i odwrotnie – ich trudności i uwarunkowań powinna się zaczynać w szkole, a w przypadku duszpasterzy w seminariach, bo taka wiedza jest niezbędna. Wśród studentów Uniwersytetu im. S. Wyszyńskiego w Warszawie często idolem propagowanym przez pisma katolickie jest prof.

Bauman. Studiując jego dzieła (zresztą znałem prof. Baumana z bardzo dawnych lat, kiedy jeszcze odznaczał on się inną działalnością), znalazłem bardzo dobry przykład przemawiający do wyobraźni. Postawmy sobie pytanie, dlaczego wszyscy mamy właściwie współpracować ze sobą? Wyobraźmy sobie łódź, której zagraża katastrofa. Tą łodzią jest Ziemia w czasie huraganu. Musimy współdziałać, bo inaczej zginiemy. Czyż nie jest to przemawiające? Tylko że jest to stwierdzenie nieprawdziwe, ponieważ powodem naszego współdziałania powinno być poczucie chrześcijańskiej moralności, a nie brak wyjścia. I to trzeba dopowiedzieć, by w umysłach młodych ludzi pozostała ta prawda. W Warszawie, w czasie tych wakacji, kilka tysięcy bogatych małżeństw, przeważnie młodych, inteligenckich, z dziećmi, wywoziło samochodami swoje psy i koty do lasu. Psy przywiązywali drutem do drzewa, koty wyrzucali i jechali na wakacje. Oni właśnie tak wychowują swoje dzieci! Ale ja nie słyszałem w kościele, przykro mi, żeby ktoś to wytknął i powiedział: „Nie jesteście chrześcijanami, mimo że jesteście tutaj na mszy”.

**Piotr Wojciechowski:**

Dziękuję bardzo wszystkim panelistom za wypowiedzi.